

dotarło, a najbliższe wsie, zajęte już przez Polaków, znajdują się w odległości kilku do kilkunastu kilometrów i nie ma z nimi żadnej łączności.

Pojechałem do Santocka, a moi przygodni towarzysze wyprawy w kierunku Śląska. Santocko od września niewiele się zmieniło. Rosjanie wyjechali i w olbrzymiej, ciągnącej się przeszło 10 kilometrów wsi pozostali prawie sami Niemcy. Polaków nie przybyło. Jest tych kilku osadników wojskowych, żołnierzy zza Buga, samotnych, bez rodzin. Mama pojechała po ojca i młodsze rodzeństwo, a Tadzik ze Stasią zostali sami. Dają sobie jakoś radę. Okolica spokojna, band nie ma. Niemcy cisi i pokorni. Może moim krzywdy nie zrobią. Tadzik urzęduje przysłone gospodarstwo jak może. Coś niecoś mają już na zimę, ale będzie im cholernie ciężko z wyżywieniem, dopóki mama nie wróci i nie przywiezie własnego dobytku. Tu pusto i wszystko ogołocone doszczętnie. Niemcy też głodują i za kawałek słoniny, a nawet chleba, można od nich kupić rzeczy, o jakich na naszym Podlasiu nawet się nie marzy.

Pod nasz nowy dom podchodzą dziki, a na łące spotkałem sarny. Ech, gdyby tak mieć coś dłuższego do strzelania byłoby świeże mięso. Próbowałem ze starego Waltera, ale prócz huków nic więcej nie było.

Wróciłem w dobrym nastroju. W umówionym dniu i o umówionej godzinie byłem na tzw. Dworcu Głównym. Z daleka zauważyłem jednego ze swoich żołnierzy. Drugiego nie było. Ten, który był, zdenerwowany i roztrzęsiony wyjaśnił, że ten drugi wdał się w awanturę z milicją i ni mniej ni więcej tylko siedzi w więzieniu w oczekiwaniu na rozprawę sądową.

A niech to pieron trzaśnie. Znów wlałem w kabałę, z której nie wiem jak wybrnąć. W pierwszej chwili myślałem, że rozerwę na kawałki zwiastuna tej nowiny. Opanowałem się jednak. Akurat odchodził pociąg w kierunku Katowic. Pod wpływem impulsu wskoczyłem do niego. Za mną, jak cień – żołnierz. Kiedy pociąg nabrał rozpędu, gdy rytm kół dudniących po szynach uspokoił mnie do reszty, kazałem opowiedzieć dokładnie co, gdzie i jak.

– Panie poruczniku, to nie jest zwykła rozróżba, to jest sprawa polityczna – zaczął z trudno hamowanym wzruszeniem.

– Nie pieprz! Mów do rzeczy, mnie nie trzeba uświadamiać.

– Tak jest. Więc tego, więc Stachu jest synem przedwojennego komunisty i był za okupacji w ruchu. Koledzy z jego miejscowości są różni, jak wszędzie. Otóż Stachu spotkał jednego takiego w mundurze milicjanta. No i ... i chciał go zatrzymać. Ten uciekał, Stachu strzelił z automatu. Kumpel tego bandziora zbili Stacha straszliwie, bo on się nie dawał im wzięć. Wzięli go nieprzytomnego. Ojciec i matka rwą włosy z głowy. Straszne rzeczy, towarzyszu poruczniku.

– Bez bajcu. Zabił kogo?

– Nie, ale temu bandycie przyfasował i z tego wyszła draka.

– Ty przestań mi dupę zawracać, jeśli chcesz, żeby było dobrze. Ileście wypili przedtem?

– No trochę wypiliśmy. Taka okazja, panie poruczniku.

– A po wódce łatwo odkryć wroga i sprawiedliwość wymierzać. Ja się z wami, sukiny syny, rozprawię.

– Obywatelu poruczniku, oddajcie nas pod sąd, ale nasz sąd, a nie tu. Pierony utopiliby nas w łyżce wody. Nasza wina, ale niech go sądzą w Warszawie.

– Przestań już.

Rzucona przez żołnierza myśl zaczęła przeobrażać się w plan. Po przyjeździe na miejsce przystąpiłem do jego realizacji, grając *va banque*. Zameldowałem się u prokuratora prowadzącego sprawę. Przedstawiłem się mu jako specjalnie delegowany z Korpusu oficer z misją zabrania więźnia do dalszego prowadzenia sprawy przez naszą prokuraturę. Zaspany, czy może przemęczony kapitan bez większego oporu dał mi akta i nakaz zwolnienia. Pokwitowałem, odmeldowałem się i wyszedłem. Spocony jak mysz, nie wierzyłem własnemu szczęściu. Mój zły duch czekał na mnie, jako niby konwojent.

– No co ze Stachem?

– Gówno. Znasz drogę?

– Oczywiście.

– To prędko jedziemy, bo fujara gotów się rozmyślić.

Odzyskanie więźnia poszło gładko. Chciałem natychmiast wsiąść w pociąg i wracać, ale gdzie tam. Oniemieli początkowo z wrażenia łajdaki, szybko ochłonęli i zaczęli mnie molestować, by Stachu mógł pokazać się rodzicom, bo tam oni włosy z głowy rwą. Dranie wyczuli mnie. Pojechalśmy do jakiegoś osiedla. Najpierw tramwajem z licznymi przesiadkami, a potem pieszo. Miało to być 15 minut drogi, a trwało ze 3 godziny. Byłem wściekły, ale bardziej na siebie niż na nich. Ów Stach, dwumetrowy dryblas całował mnie po rękach. Dałem mu w papę i uspokoił się. Szedł początkowo jako aresztant bez pasa i broni, którą dźwigał jego kumpel. Kazałem mu się ubrać i szybko pokazać rodzicom, że jeszcze go ziemia nosi.

Skończyło się na tym, że wbrew swojej woli zasiadłem za stołem nie posiadających się z radości rodziców drapichrusta. Obzარłem się i spiłem nieprzyzwoicie. Po dwóch nieprzespanych nocach nie było to trudne, szczególnie w takiej sytuacji. Wylądowałem pod olbrzymią pierzyną, którą mi posłała i stale chciała poprawiać siostra cudem ocalonego, jak zgodnym chórem twierdzono, Stasienka. Zapadając w otchłań snu, czułem, że ona wciąży koło mnie krąży, ale zabrakło sił, by wyciągnąć po nią rękę. A szkoda, bo gdy przyjrzałem się jej rano, to warta była grzechu. Przepadło, stracone okazje nie powracają.

Wróciliśmy bez przygód, jedząc i pijąc to,

czemu nie podołaliśmy na miejscu. Sprawę uważałem za załatwioną. Nawet mordy nie obilem mu, jak należało. To naprawdę równy chłopak i bardzo porządna rodzina. Wybiorę się tam kiedyś.

Bałem się, że nasze bydłatka z Sochaczewa przywędrują przed nami. Ale i tu też dobrze się ułożyło. Kolej nawaliła, ale nie ma złego, co by nie wyszło na dobre. Dzięki niej nasza przygoda nie została zdekonspirowana.

11 listopada ogłoszono ostre pogotowie. Siedzieliśmy wszyscy w koszarach, bajdurząc o dupie-marynie i ziewając jak mopsy. Około północy rozległo się straszne walenie w główną bramę koszar. Oficerowie, którzy pokpiwali sobie z pogotowia, zbledli i zerwali się na równe nogi. Chwycili się za broń. Walenie w bramę potęguje się, słychać tupot – to pogotowie z wartowni biegnie do bramy. My za nimi. Przez sztachety ogrodzenia czerni się i kłębi jakiś tłum. Co do wielkiej Anielki jest? Czyżby rzeczywiście banda?

Nie. To nasz kontyngent mięsa dobrnął wreszcie z Sochaczewa do celu, a konwojenci chcieli niezwłocznie pozbyć się kłopotu. Ażeby was, sochaczewianie, demokratyczna bozia miała zawsze w swojej opiece.

1946

Jeszcze niedawno marzyłem o cywilu. Teraz nie. Co ja bym tam robił? Uczyć się tak, ale za co. O pomocy rodziców nie mam co marzyć, a jak dotąd trafiają mi się same biedne baby, które nie tylko nie wspomogą materialnie, ale to im trzeba by pomóc.

Maj

Ten Boczkowski gagatek nie lada. Pięknego majowego dnia zasiadłem na ławce pod drzewem i beztrudnie wygrzewałem się na słońcu. Boczkowski skrobał w kuchni ziemniaki i lada chwila powinien iść do koszar. Postanowiłem z nim pogwarzyć. Właśnie wyszedł i zmierza w moim kierunku. Przywołuję go. Podchodzi, melduje się. Jakiś dziwny uśmiech, gęba zapadnięta, mizerna do niemożliwości, straszliwie brudny mundur nie pasuje do smukłej, bardzo smukłej, zgrabnej figury żołnierza.

– Dlaczego nie na służbie? – pytam – Co to za obijanie się?

– Obywatelu poruczniku, melduję, że tacy jak ja nie są godni pełnić służbę przy dostojnikach państwowych.

– Nie zgrywaj się, głuptasie. Siadaj, jeśli masz chwilę. Zapalisz? Co mają znaczyć te twoje wycieczki? Ty mi wyglądasz na cwaniaka, ale coś tu mi też nie pasuje. Ile masz lat?

– Dwudziesty.

– To znaczy ochotnik. Gdzie masz zęby?

cdn.